Rok II. Lublin, 11 Kwietnia 1926 r. Nr. 15.

ORZEŁ BIAŁY

- - - - - TYGODNIK, WYCHODZI NA KAŻDĄ NIEDZIELĘ. - - - - -



W pole, do roboty, bo wiosna!

Próżno ty się miotasz w polu.
Wichuro,
Próżno ludzi straszysz pieśnią
Ponurą;
Przyjdzie wiosna, wonne kwiaty
Rozsieje,
Porozprasza wszystkie smutne
Zawieje!

Przyjdzie wiosna uśmiechnięta
Królewna,
Jak sen piękna, niby anioł
Powiewna,
Spojrzy na świat błękitnemi
Oczyma
I wnet pierzchnie czarownica,
Zła zima...

Przyleciały już bociany
Wróżbity,
Zajaśniały rozchmurzone
Błękity,
Płyną polem jakieś wonie
Wiośniane,
Wstają ze snu ludzkie serca
Stroskane...

Więc naprożno ty się miotasz
Wichuro,
Próżno ludzi straszysz pieśnią
Ponurą,
Nie zatrwoży ich twój lament
Żałosny,
Oni czują, że już bliski
Dzień wiosny...

A. Oppman.

W dniu Zmartwychwstania.

Biją dzwony, biją dzwony,
Dźwięk ich wietrzna niesie fala,
Głos rozgłośny, rozmodlony
To się zbliża, to oddala —
Płynie, leci i rozlewa
Na ziemskich się szarość dróg,
Zmartwychwstaje umęczony —
Stwórca świata, Chrystus — Bóg!

Już Archanioł biały ciszy
U grobowca stanął wrót,
Już za chwilę świat usłyszy,
Że radosny stał się cud,—
Że duch Boży nieśmiertelny
Z więzów śmierci się wyzwoli,
Ciszę zmarłym da, — na ziemi
Pokój — ludziom dobrej woli...

Pokój ludziom dobrej woli,
Którzy wierzą niezachwianie,
Że z pomroku i niedoli
Z martwych Duch mocarny wstanie,
Że rozproszy się zwątpienie,
Jak na wietrze mgława sieć,
Że osiągnąć można szczęście,
Jeno trzeba mocno chcieć...

T. Kończyc.

NIGDY NIE STRACONE!

Nie każdy jedynie goni za groszem!

Są dusze szczęśliwe, które potrafiły ukochać sprawy cenniejsze, aniżeli złoto.

Zapewne, świat niekiedy pozwala sobie zadrwić z nich rozgłośnie i wesoło, — a jednak powinienby wiedzieć o tem, że przecież tylko takim duszom szczęśliwym zawdzięcza to wszystko, co u siebie uważa za święte, piękne i dobre!..

Gdybyśmy zechcieli uważniej zbadać, w jaki sposób każda sprawa dobra, poczynając od wiary religijnej, a kończąc na obronie człowieka bezsilnego praw do wolności i szacunku, zyskuje stopniowo coraz mocniejszą przewagę w wirze przeróżnych zabiegów światowych, doszlibyśmy wnet do przeświadczenia, że to się dzieje głównie dzięki żarliwej i ofiarnej pracy poszczególnych ludzi, którzy nad złoto i nad własne szczęście umiłowali pewną prawdę, pewne zadanie, pewien ideał, niezbędny dla dobra powszechnego...

Ci poszczególni ludzie poświęcili siebie na to, i gdy nadarzy się jakaś praca, droga ich sercu, rzucą wszystko, zapomną o sobie i nie bacząc na największe trudności, niebezpieczeństwa, podejmą się wykonania jej pilnie i ofiarnie.

Wyobraźmy sobie wędrowca pieszego na wsi w biały dzień obskoczonego przez psów złośliwych. Przerażony wędrowiec broni się kijkiem, lecz zarazem krzyczy w niebogłosy, błagając mieszkańców o ratunek. Owszem, z niektórych chałup wyglądają ludzie, ale stoją bezczynnie i nawet śmieją się z smutnej przygody napastowanego. Nikt mu jednak nie pospieszył z ratunkiem. Psy zażarte poszarpały na nim ubranie, pokaleczyły go dotkliwie — i aż dopiero jakaś kobieta z drugiego końca wsi nadbiegła z widłami i ta go obroniła!

Podróżny, wylęknięty, podziękował obronicielce i na odchodnem, spoglądając na wieś nieczułą, powiedział:

— Niegodziwi ludzie, bez serca!

A oni, słysząc go, jeszcze drwinkami i gwizdaniem żegnali!

Nietylko niegodziwi, lecz i okrutni!

Czy takich ludzi mało na świecie?

Niestety, — za dużo!

Rzadko kto ujmie się za pokrzywdzonym, znieważonym... Niech ginie bez ratunku!..

Podobnież nie kwapią się ludzie z obroną prawdy napastowanej, wyszydzanej.

Słowem, ludzie zazwyczaj nie lubią narażać siebie na przykrości, cierpienia, straty, gdy nie przewidują stąd dla siebie znacznych korzyści materjalnych, chyba że skłania ich do tego postępku ryzykownego własne serce, gorące przywiązanie, umiłowanie.

Zaraz poznać można matkę po krzyku dziecka. Gdy na ulicy dziecko zapłacze, przechodnie mało na nie zwracają uwagi, — ale wnet przybiegnie do niego jakaś niewiasta, zaraz je bada, pociesza, utula i broni. Wszyscy odrazu domyślają się, że to niezawodnie matka jego.

Broni, ratuje serce!

Jakiś młodzieniec upodobał sobie szczególniejszą pracę: pasjami lubi malować; widocznie ma dar do tego, bo nawet niezgorzej udaje mu się taka robota, chociaż nigdzie się jej nie uczył; sam z siebie potrafi niejedno namalować wcale udatnie! Ludzie poglądają na jego malowidła ciekawie, przystają, chwalą, dziwują się i jednak kiwają nad nim głowami jakgdyby z odrobiną litości, bo mawiają między sobą powątpiewająco, czy on będzie miał co z tej pracy? czy to mu się kiedykolwiek opłaci?

Zresztą on sam przewiduje trafnie, że z tej swojej roboty pięknej nie wielkie mieć będzie dochody, że napewno przy niej wypadnie mu całe życie biedę klepać, a jednak nie jest w stanie porzucić jej, oderwać się od niej, bo kocha ją mocniej nad złoto, nad dostatki, nad wszelkie wygody!..

Zczasem robota malarska udaje mu się coraz lepiej, bo coraz piękniejsze potrafi namalować obrazy. Ludzie różni zachwycają się jego obrazami, mówiąc: „Ach jakie to piękne!" — Lecz, niestety, płacą mu za nie skąpo, niedostatecznie, bo ciągle są tego zdania, że za malowidla, nawet bardzo piękne, drogo płacić nie warto!

To go bynajmniej nie zraża! On prawdziwie jest szczęśliwy, że udają mu się roboty ukochane, że już potrafi pięknie wykonać swoje pomysły... Chwilami nawet nędza go trapi, a on wesoły ani myśli rozstać sie ze swoim pędzlem i farbami. To najmilsze jego zajęcie. Gorącem sercem swojem związany jest z tą pracą. Tylko śmierć jedna zdoła go od niej oderwać!

Niejeden, patrząc na takiego miłośnika, ustawicznym niedostatkiem nękanego, oburza się, nawet gniewnie potępia, mówiąc:

— Trzeba byc warjatem, żeby tak się zaślepić dla takiego głupstwa! Bo co mu z tego przyjdzie? Na co się to komu przyda? Toć to zabawka, mało pożyteczna, ani to kogo zbogaci, ani nakarmi, ani odzieje!.. Maluje i maluje, niby ładne rzeczy, ale nie popłatne, dochodu stąd wielkiego nie ma, niedostatek mu ciągle na karku siedzi — i wypadnie mu chyba zginąć z nędzy!.. Czy niema sposobu na to, żeby mu wyperswadować takie dziwactwo szkodliwe?

Widocznie niema — i, dzięki Bogu, że niema! Bo inaczej nie istniałyby na świecie rzeczy piękne i nie istniałoby mocne umiłowanie piękna, mocniejsze nad przywiązanie do złota i nad lęk przed nędzą!..

Wszyscy ludzie lubią piękne obrazy, lecz nie wszyscy potrafią je wykonywać, lub poświęcić siebie dla ich wykonania!

I to nie wina pięknych obrazów, że niejeden wykonawca ich bywa narażony na niedostatek. To wina tylko tych, którzy nie chcą dostatecznie wynagradzać wykonawców rzeczy pięknych!

Piękno nie zginie na świecie dopóki są ludzie, którzy je miłują mocniej i goręcej nad złoto i dostatki, a nawet nad życie swoje!..

Czy tylko piękno ma w taki sposób zapewnione w świecie istnienie i triumf?

Nietylko, bo również każda prawda, świętość i dobro.

Czy prawd wiary nie obronili męczennicy? Czy oni byli niezbędni tylko w początkach powstawania Kościoła Chrystusowego, — a dziś są zbyteczni?— Nie! Bo i dziś, jak wówczas, prawdy, nawet najświętsze, bywają bardzo niebezpiecznie napastowane. Jako dowód — wystarczy wspomnieć o prześladowaniach i męczennikach obecnie w Rosji bolszewickiej.

A teraz nadmieńmy o miłości ojczyzny.

Wszyscy mają ojczyznę, lecz nie wszyscy równo ją miłują. Nawet są tacy, co, owszem, radzi ją mieć wolną i szczęśliwą, ale stanowczo wyżej nad nią cenią korzyści swoje.

— Co ona mi da? — mówią — Nic! Jeszcze muszę na nią płacić!.. A może, kto wie, wypadnie mi kiedy z jej przyczyny narazić siebie na przykrości, kłopoty, utratę zdrowia, lub życia?... Czy warto?

I taki rodak gotowy jest uwagi swoje zakończyć złośliwem oświadczeniem, że nic mu z ojczyzny! Bo dla niego tam ojczyzna, gdzie mu dobrze! Targuje się! Chce, by go najtaniej kosztowała. A jeśli wydaje mu się zadroga, jużby gotów nawet jej się wyrzec!..

Z usposobienia takich rodaków snadnie korzystają wrogowie wewnętrzni i zewnętrzni. Czy nie od takich rodaków zaczął się w swoim czasie upadek dawnej Polski?

Mieli oni do wyboru: albo troszczyć się głównie o dobro ojczyzny,—albo troszczyć się głównie o własne dobro. Bardzo wielu oddało się tylko trosce o siebie — i ojczyzna przepadła, bo wówczas wróg doznał dużego od takich sobków polskich ułatwienia w zagarniania Polski. Toć ci sobkowie wcale mu nie przeszkadzali w opanowaniu Polski, owszem, nawet pomagali mu, bo na sejmach polskich starali się przeprowadzać uchwały przychylne wrogowi... Za to otrzymali od niego nagrody pieniężne, albo zapewniali sobie spokój, lub zadowolenie, że uczynili na złość, lub na przekór tym i owym swoim rodakom, którzy mieli inne plany polityczne...

Wówczas niejeden rodak tchórzył wobec natarczywości wrogów, więc milkliwie godził się na wszystko; — inny, chciwy, a nieczuły dla spraw krajowych, radbył tylko coś dla siebie zarobić przy sposobności, kiedy wrogowie rzucali się na Polskę, — a jeszcze inny nie dość, że obojętny dla Polski, ale nadto nienawistny dla swoich, skwapliwie wiązał się z wrogami, by przy ich pomocy siebie zbogacić, a swoich podeptać i wywrzeć na nich całą ku nim nienawiść swoję.

Tych i tym podobnych wówczas było bardzo dużo polaków i tylko przy ich pomocy udało się wrogom posiąść Polskę i podzielić między siebie, jak chustę dobrej matki, zdartą przez wyrodne jej dzieci!...

Wszelakoż, dzięki Bogu, nie wszystkie dzieci Matki-Polski były tak wyrodne! Niemało wśród nich było zacnych, przywiązanych do niej serdecznie i szczerze bolejących nad jej niedolą! I oni właśnie poniekąd za cel główny życia swego obrali sobie pracę ofiarną i gorliwą nad wydobyciem ojczyzny z niewoli.

Wiedzieli o tem wrogowie! Zabrali Polskę,— więc nie tylko ziemię, ale i jej dzieci — naród polski. A w tym narodzie nie wszyscy rodacy byli znikczemniali... Znajdowało się w nim bardzo dużo prawdziwych polaków, całą duszą oddanych ojczyźnie i każdej chwili gotowych po bohatersku zdjąć z niej okowy.

Tylko ci wierni polacy sprawiali jedyny kłopot zaborcom Polski!

Gdyby nie oni, jużby zaborcy mogli być spokojni o zagarniętą Polskę! Toć o nią nikt obcy nie upomni się u nich... Dla anglików, włochów, francuzów, hiszpanów, — przecież to rzecz obojętna w czyim ręku jest Polska, — jedynie tylko polacy mogą do nich zawołać gniewnie i groźnie:

— Oddajcie nam Polskę, bo ona jest naszą Matką - Ojczyzną!...

A zawołać tak mogą nie byle jacy polacy, jeno ci najlepsi, najgorliwsi i najofiarniejsi, gotowi na wszystko, których nic nie przestraszy, ani odwiedzie od całkowitego poświęcenia się dla ocalenia ojczyzny!

Z takiemi patrjotami sprawa bardzo trudna!

— Ilu ich jest?

Odpowiedź na to pytanie dla zaborców Polski była nadzwyczaj ważna, ale, oczywiście, nigdy jej dostać nie mogli, bo czy był ktokolwiek w stanie zdobyć się na nią? Nikt, — więc zaborcy ciągle musieli trzymać wojsko w pogotowiu bojowem i przy pomocy swoich szpiegów badać ustawicznie usposobienie polaków.

Jednak okrutni i przewrotni zaborcy nie poprzestawali tylko na pogotowiu i śledzeniu, — oni podjęli zamiar straszny: zabić duszę polską, zgasić w niej ukochanie Polski, zniszczyć pamięć o przeszłości Polski, zmienić mowę, obyczaje, nawet wiarę religijną!..

Zaborcy przystąpili do tej roboty niezmiernie gorliwie z wielkim zasobem własnego złota, a doradców i posługiwaczów nikczemnych zawsze mieli pod ręką mnóstwo, a niekiedy nawet aż za dużo!

Byli pewni powodzenia! Liczyli na czas i na pomoc najlichszych polaków, nie mających ochoty siebie i swoje potomstwo narażać na gniewy, prześladowania i kary srogich, niemiłosiernych zaborców!

— Biada polakom!

Taki głos podczas niewoli miał groźne znaczenie. Był to wyrok zagłady, przez mocarzy-zaborców wydany na wszystkich polaków.

Tchórzliwi, zakochani tylko w sobie, a obojętni dla ojczyzny rodacy, ciągle byli przerażeni, lękali się mówić o Polsce bodaj półgłosem, nawet nie chcieli już o niej myśleć, bo im się zdawało, że Polska już na wieki-wieków przepadła, żadna siła wskrzesić jej nie potrafi, więc nie warto siebie i swoje dzieci gubić dla straconej. A moskal i niemiec nie żartują, srogo gnębią za każdy, najmniejszy objaw przywiązania do Polski!

Rozumie się, zaborcom wielka tchórzliwość polaków była bardzo na rękę, pragnęli też, by u wszystkich polaków tchórzliwość zgasiła patrjotyzm,— i dla-

tego nawet starali się coraz okrutniej prześladować polaków.

Ale nie dopięli swego! Bo ciągle było niemało takich polaków, którzy nie gonili za groszem, nie troszczyli się o siebie, a głównie myśleli o wskrzeszeniu Polski, bo jej niewola stanowiła dla nich największe nieszczęście!..

Nie szukali siebie, a łatwo się spotykali i poznawali. Nie umawiali się, a przecież coś ich łączyło bardzo mocno w jedną potężną organizację narodową. A tem coś było jedno gorące, żarliwe umiłowanie wspólnej ojczyzny, udręczonej w niewoli.

Dziwnie łatwo zapalał się ten ogień miłości w poszczególnych polakach młodych, a nawet w dzieciach.

Nikt im wiele nie mówił o Polsce. Dość było szepnąć któremu z nich na ucho: „Polska, nasza ojczyzna, jęczy w niewoli, zaborcy pastwią się nad nią, musimy ją wyzwolić", — i już wnet jednego więcej polaka ożywiało przywiązanie do Polski, a nagliła troska do jej wyswobodzenia!

Jedno serce polskie, miłujące Polskę, zapalało miłość ku niej kolejno w wielu poszczególnych sercach polskich. Tak ustawicznie rozpowszechniała się w narodzie miłość ojczyzny.

Zaborcy nie zdołali jej zgasić!

Nigdy nie stracona!

Tylko jej Polska zawdzięcza swoje istnienie i— wskrzeszenie!

Dlatego należałoby uczynić niezbędną poprawkę w naszej pieśni narodowej, która niezbyt dokładnie oświadcza: „Jeszcze Polska nie zginęła, póki **my** żyjemy!" Bo przecież **my bywamy bardzo rozmaici!..**

Nie **my** potrafimy ocalić Polskę, lecz ci, co ukochali ją nad złoto i nad własne życie swoje!..

Tylko tacy polacy w ciągu długiej i okrutnej niewoli ojczyzny — coraz zrywali się do boju z zaborcami. Szli oni na niechybną śmierć, lub gorsze od niej: męki więzienia lub wygnania! Ale szli odważnie, po bohatersku, szli nie po zwycięstwo, lecz po to, by głośno przed światem całym upomnieć się za pokrzywdzonym narodem, za podeptaną Polską!

A kto im kazał to czynić? Czy jaki mocarz? Czy kto obiecywał im za to nagrodę, albo sławę?— Nic podobnego! Szli sami, bez nakazu, bez zachęty, nawet bez nadziei sławy i zwycięstwa! Ginęli strasznie udręczani przez wrogów! Mogiły ich często bywały bez krzyżów — i wszelki ślad ziemski po nich zacierał się prędko! A jednak jeden ślad po nich nigdy nie zginął — to ślad miłości ku ojczyźnie, miłości, która zapalała ten sam ogień święty w innych sercach polskich i kazała im to samo czynić dla dobra Polski aż do skutku, to jest aż do szczęśliwego wskrzeszenia Jej!.,

Tylko taka jedna pobudka święta kazała Djonizemu Henkielowi, serdecznemu polakowi, mającemu lat 21, a będącemu w uniwersytecie kijowskim, „rzucić wszystko i zaciągnąć się w szeregi powstańcze w r. 1863-im".

Krótko wojował. Został schwytany, kiedy przez rzekę przewoził broń dla powstańców. Wyrok śmierci wydano na niego. Pomyślne okoliczności wnet złagodziły ten wyrok. Darowano mu życie, ale za to skazano go na wygnanie do Syberji. Musiał biedak pieszo odbyć tę drogę tak daleką w licznem gronie rozmaitych skazańców. Byli tam i polityczni i kryminalni przestępcy. Po dwuch skuwano kajdanami. Raz na noclegu z wieczora towarzysz Henkiela umarł z wycieńczenia, lecz straże nie chciały przerywać sobie wypoczynku, więc Henkiel musiał obok trupa przeleżeć do rana...

W dalszej wędrówce wygnańczej Henkiel zauważył w swojej gromadzie pewnego aresztanta rosjanina, z którym szła na wygnanie jego żona i synek małoletni. Nędza bardzo dręczyła szczególniej to dziecko. Henkiel ulitował się nad niem i mając przy sobie nieco więcej pieniędzy swoich, coraz to kupował dziecku mleko. Tak przywędrowali na Ural. Tam Henkiel z utrudzenia i głodowania zapadł na tyfus brzuszny. Zaraz też został umieszczony w szpitalu aresztanckim, gdzie wcale nie troszczono się o chorych. Karmiono ich strawą żołnierską, a więc kapustą i czarnym chlebem zakalcowym. Po takim posiłku, oczywiście, wielu chorych musiało wprędce na tamten świat się przenosić. A o to właśnie bardzo chodziło władzom więziennym. W łatwy sposób pozbywali się aresztantów. Jednak Henkiel chciał siebie ocalić i dlatego wcale nie brał do ust strawy zabójczej. Kilka dni wytrzymał niemal bez posiłku,— aż spotkała go niespodziewana, cudowna nagroda za jego miłosierdzie. Oto aresztant-rosjanin, ojciec małego synka, ratowanego przez Henkiela w drodze mlekiem, dostał się do tego szpitala na posługacza i poznawszy przyczyny głodzenia się Henkiela, zaczął mu codziennie ukradkiem przynosić mleko. I w taki sposób przyczynił się do wyzdrowienia Henkiela...

Święta miłość chrześcijańska nigdy nie jest stracona!

W r. 1870 pozwolono Henkielowi wrócić z Syberji do Warszawy, gdzie na stałe zamieszkał i tam oddał się pracy literackiej, stale pisując do niektórych poważnych czasopism polskich, jak do „Tygodnika Illustrowanego", „Gazety Polskiej", „Bibljoteki Warszawskiej".

Kochał serdecznie ojczyznę —naród, — cierpiał i pracował dla nich całe życie swoje! Umarł w szpitalu ubogo, lecz szczęśliwie, bo doczekał niepodległości Polski...

Miły stąd godzi się wydobyć wniosek, że umiłowanie praw Bożych i ojczyzny nigdy nie będzie stracone, lecz, owszem, zawsze niezawodnie przyczyni się do rozpowszechnienia i umocnienia dobra moralnego w świecie!...

Pod tem hasłem zawsze działajmy!

Adres Redakcji: Lublin, Początkowska 2, — — — — — — Administracja w Bychawie.

Redaktor i Wydawca: Ks. A. KWIATKOWSKI. Drukarnia pod „Orłem Białym" Bychawa.